

Rozdział pierwszy

Sterczała w otwartych drzwiach już od dłuższego czasu. Przypatrywała się jego głowie pochylonej nad grubą, otwartą książką — chyba słownikiem, a może jakąś encyklopedią medyczną. Miał piękne szpikowane włosy z gatunku tych, które nie wymagają żadnej pielęgnacji. Rosną sobie w idealnym półkołu nad uchem, a opadając na kark, nieco przydługie, tworzą falistą linię nad szyją. Natomiast dłonie miał za małe, niemęskie, z błyszczącymi, szpiczastymi paznokciami na parówkowatych palcach, którymi nerwowo przewracał kartki książki. Jego śniada twarz ze zrosniętymi, czarnymi brwiami odbijała się w lustrze zawieszonym nad biurkiem. Wysoki? Niski? Trudno było powiedzieć, bo siedział. Szczupły. Miał chyba pod pięćdziesiątkę.

Stała cicho. Bez ruchu.

Zadzwoił z kasy chorych godzinę temu. Kazał przyjechać jak najszybciej, bo potem będzie zajęty. Wreszcie zwrócił się do niej, nie odwracając głowy:

— Proszę się rozebrać.

Leżała na plecach i nie wiedziała, gdzie podziąć ręce.

— O, mamy zezowate piersi, tego na zdjęciach nie zauważyłem. Jedni zezują oczami, a drudzy piersiami — zaśmiał się zadowolony z własnego dowcipu. W półmroku błysnęły śnieżnobiałe koronki. Ma dobrego dentystę, oceniła.

Do pokoju weszła asystentka specjalisty od biopsji. Strzykawka w jej tłustych dłoniach nadawała się do szczepienia koni. Doktor Bilu wziął przyrząd do prawej ręki, a lewą zaczął poprawiać kosmyki włosów na czole pielęgniarki i, nie przerywając tej czynności, wbił nagle igłę w uprzednio znieczulone miejsce na lewej piersi. Zabolało. Ale trzeba przyznać, że nie patrząc w jej stronę, wbił sprawnie i dokładnie w czarną kropkę wewnątrz czerwonego kółka, które pielęgniarka namalowała grubym flamastrem. Strzykawka wydała dźwięk ssania i wtedy doktor Bilu przestał poprawiać kosmyki na czole swojej pomocnicy, bo musiał użyć drugiej ręki, by sięgnąć po próbkę.

— Widzisz te zwinięte robaczki, Marina? — zwrócił się do asystentki. — Tak to właśnie wygląda, nie trzeba nawet oddawać do laboratorium, wystarczy parę lat doświadczenia. Ale niech mają zajęcie. — Wcisnął próbkę w tłustą łapę asystentki.

— Panie doktorze? — zdecydowała się wreszcie zapytać, nadal nieprzerwanie tkwiąc w półnagim bezruchu.

— A, tak, tak, tak! Nie ma się co przejmować. Dziś. Nie ma. Bo jeszcze kilkanaście lat temu było

o wiele trudniej. Ale teraz? Teraz to albo zaczynamy od chemioterapii i potem przechodzimy do wycinania czy obcinania w ogóle, albo na odwrót. Najważniejsze, żeby nie było przerzutów. A tak na moje oko, to nie ma. Przerzutów. A nawet jeśli są, to dziś bombardujemy to świństwo naświetlaniami, zatrzymujemy chemią, tniemy, gdzie trzeba i ile trzeba, a człowiek w tym czasie sobie żyje jak każdy inny i może nawet skoczyć na parę dni na przykład do Turcji i zarobić parę groszy w kasynie. Obcięty biust to też nie problem, bo w naszym kraju mamy najlepszych chirurgów plastycznych na całym świecie i rekonstruujemy, jak Pan Bóg stworzył. Nawet lepiej. Jak modelkom. Nic dziwnego, tyle wojen i ataków terrorystycznych, więc mamy wprawę. Mąż czeka na zewnątrz? Nie ma męża? Dzieci są? Też nie ma? Kto jest? OK, spotkamy się pod koniec tygodnia, a w tym czasie trzeba zrobić solidne USG i CT. Tak na wyczucie to guz powinien mieć kilka centymetrów, ale o rodzaju tkanki opowiedzą nam łaskawie panie laborantki. Tylko że dopiero za kilka dni, bo te baby pracują jak muchy w smole. Ale głowa do góry, nie trzeba się martwić na zapas. Bo na przykład ja... Mogę sobie jutro rano wstać z łóżka, pośliznąć się i wywalić na kant stołu. I rozbić sobie łeb. I natychmiast wyzionąć ducha. Mogę, prawda? Czy ja na zapas wytrzeszczam oczy ze strachu? Nie. Płacę? Nie. Bo co mi to da? Nic, prawda? Więc trzymajmy się! Głowa i piers do góry! — Doktor Bilu znów zarechotał. Tym razem był jeszcze bardziej zadowolony ze swojego dowcipu.

Czuła jakiś lodowaty spokój i posłusznie wysłuchiwała pocieszeń. Tylko z minuty na minutę rosło w niej zdziwienie przechodzące w głęboką niechęć do lekarza. Dlaczego pociesza ją idiotycznymi historijkami o kancie stołu? Dlaczego nic po nim nie widać? Ma teraz głowę do tego, żeby obmacywać pielęgniarkę? Na jakim świecie ten człowiek żyje? Chyba nie na tym samym co ona. Przecież kilka dni temu całe państwo zakotłowało się jak mrowisko, w które wsadzono kij. Spod nóg obywateli niespodziewanie został usunięty z trudem utkany, kilkudziesięcioletni dywan nadziei, na którym Żydzi budowali własny dom. Dwie doby temu runęło historyczne tabu. Trzy kule wystrzelone z odległości jednego metra w plecy premiera państwa. Żyd, przywódca państwa Izrael, został zamordowany przez Żyda, obywatela tego państwa.

Stało się to późnym wieczorem, kiedy w listopadowym chłodzie uczestniczyła w pokojowej demonstracji. Tłum zamarł nagle na Kikar Malchej Izrael, centralnym placu Tel Awiwu. Kilkaset tysięcy ludzi w euforii przerwało gremialną pieśń. Jej melodia, dźwięki, słowa, zwrotki i patriotyczny refren zawisły nieruchomo na liściach drzew, na balustradach balkonów, zamilkły w bramach domów i wtopiły się w rozszerzone przerażeniem źrenice zebranych.

W drodze do doktora Bilu nie przestawała płakać i nie bardzo wiedziała, czy to ze strachu przed tym, co ją czeka, czy z powodu morderstwa, którego była świadkiem. A ten lekarz idiota zachowywał się teraz

tak, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Omamiał ją wizją nieprzewidzianej śmierci, która na każdego może trafić. Pocieszał. Opowiadając jakieś bzdury o przeciwnościach losu, oznajmił jej, że jest chora na raka.



Kiedy miała pięć lat, usłyszała, jak szeptano wokół stołu w salonie: „Gruźlica. Szklarska Poręba. Sanatorium. Górskie powietrze. Przeżyje, nie przeżyje?”.

Mama siedziała w sypialni przed lustrem toalety i przyglądała się swojej zapłakanej twarzy. Łzy spływały po policzkach. W równych rządkach. Każda kropla odbijała się w świetle nocnej lampki i mama bardzo ładnie wyglądała w tym swoim płaczu. Więc dalej płakała, spoglądając na swoje odbicie w lustrze, rozczesywała długie, faliste blond włosy, a na jej widok zaczęła głośno wycierać nos w śnieżnobiałą chusteczkę.

— Moja córeczka pojedzie daleko, daleko od domu, tam, gdzie pada dużo śniegu. I będzie jeździć na nartach. A po powrocie do domu kupimy jej łyżwy z pięknymi białymi, sznurowanymi butami, żeby się zaczęła uczyć jazdy figurowej. Baletu na łyżwach, tak, tak. Wspaniale, prawda, jak wspaniale?

W salonie było coraz więcej ludzi. Takie nie-szczęście! Trzeba oblać i obgadać sprawę. Tak mówili i nalewali sobie nawzajem do malutkich kieliszków z kilku butelek stojących na dużym okrągłym stole. Skurczyła się w fotelu ojca. I tak nikt nie zwracał na

nią uwagi. Obserwowała dorosłych i liczyła wypite kieliszki. Przyjaciół ojca, pan Zenek, wypił już sześć, a jego żona tylko trzy. Dwóch nieznanych panów wypilo po cztery i za każdym łykiem krzyczeli jednocześnie:

— Zdrowie jest najważniejsze!

Weszła gospośia i wniosła podłużny półmisek z kawałeczkami śledzia posypanego drobno pokrojoną cebulką.

— O! — zawołali wszyscy razem. — Do tego jeszcze kawałeczek czarnego chleba z maselkiem. Poezja!

Sąsiad z przeciwka, taki grubas, który trzymał swoją prywatną butelkę między kolanami, mruczał do siebie pod nosem:

— Racja, racja, racja.

Jego szklanek nie mogła policzyć, bo nalewał sobie pod stołem. A umiała już dodawać i odejmować, próbowała mnożyć, do tego znała na pamięć prawie cały elementarz i ojciec był z niej dumny.



— Czesi wybudowali swoją fabrykę w Pilźnie jakieś sto lat temu. Nie browar, nie, mówię o Skodzie. Wszystko tam produkowali: parowozy, różne maszyny, aż w końcu zaczęli robić samochody. Dobre, mocne, panie dyrektorze — kierowca mówił do ojca. — Czesi pracują jak Niemcy. Solidnie.

Jechali do Szklarskiej Poręby. Tam miała zamiesz-

kać w sanatorium dla dzieci chorych na gruźlicę. Siedziała na tylnym siedzeniu. Nie wiadomo kiedy przysnęła. Miło było w tym śnie. Była ślicznym aniołkiem w różowej sukience. Miała białe podwójne skrzydełka jak ważka. Na chmurce z waty poznała kilka innych aniołków, które pytały, w jakiej trumience została pochowana.

Obudziło ją dziwne swędzenie policzka. Po jej twarzy wspinał się ślimak, inne wędrowały po oparciu fotela w kierunku tylnej szyby. Przed wyjściem z domu wyciągnęła je z akwarium w swoim pokoju. W tajemnicy przed rodzicami włożyła delikatnie jednego po drugim do papierowej podziurkowanej torebki, a potem do worka na kapcie.

Teraz szybciotko zebrała je z powrotem. Pan kierowca i ojciec na szczęście niczego nie zauważyli. Nadal zajęci byli rozmową o silniku skody.



— Moje uszanowanie, panie dyrektorze! A to córeczka? Jaka śliczna i układna. Nauczono dziecko dygać, kiedy podaje rękę starszym. Tak powinno być. Wspaniale! My już zadbamy, żeby wróciła do domu zdrowa i rumiana jak bułka prosto z pieca. Obiecuję, panie dyrektorze, obiecuję! — zapewniała jowialnie dyrektorka, bardzo tęga kobieta.

Szli długim korytarzem wyłożonym zielonym linoleum. Prowadziła dyrektorka, za nią szedł ojciec równym żołnierskim krokiem, potem pan kierowca,

a na końcu ona, pełna strachu, że ktoś może jej zabrać worek na kaptcie i wszystko się wyda.

Dotarli do sypialni oświetlonej słońcem wpadającym przez dwa wysokie okna naprzeciw drzwi. Ściany były gładkie, seledynowe, bez żadnego obrazka. Tylko goły gwóźdź tkwił w wąskim kawałku przestrzeni między oknami. W sali było sześć idealnie zaścielonych metalowych łóżek. Pod każdym stał pękaty nocnik, biały z granatową obwódką i wielkim granatowym uchem. Jakie szczęście! Ślimaki będą miały dom. Włoży je tam, przykryje malutkim podziurkowanym ręczniczkiem, który przywiozła z domu, i będzie im codziennie przynosić coś z obiadu. A gdyby zachciało jej się w nocy siusiu, wytrzyma do rana. Wie, że wytrzyma. Bo tak ma być.

Ojciec był z niej bardzo zadowolony. Stała spokojnie i uśmiechała się. Nie zachowywała się jak ta dziewczynka na korytarzu, która głośno płakała i nie chciała się odczepić od swojej mamy.



— Ty jesteś Żydóweczką, prawda? — zapytała Sabinka, dziewczynka z łóżka obok. — Nie martw się, nauczę cię pacierza i żadna salowa nie będzie ci robić min. Ale obiecaj, że dasz mi połowę ślimaków. Nie teraz. Jak jedna z nas będzie odchodzić. A wiesz, kiedy stąd wyjedziesz? Bo mojej mamie powiedzieli, że ja już niedługo tu pobędę. Więc na razie będziemy się bawić razem, a potem się podzielimy, dobrze?

Wieczorem na gwoździu między oknami wieszano Jezusa Chrystusa. Był z drewna, pomalowany na mocne kolory. Krew ściekająca z przybitych do deski dłoni i skrzyżowanych nóg miała kolor bordowy. Za każdym razem, kiedy na niego spoglądała, chciało jej się podbiec, wyrwać gwoździe, objąć go, uratować. Był piękny i taki cierpiący! Łykała łzy. Na rozkaz salowej wszystkie dziewczynki klękały przy swoich łóżkach, żeby się pomodlić przed snem. Za pierwszym razem nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Zdjęła niebieskie kokardy z warkoczyków, zmoczyła je pod kranem i starannie owinęła wokół poręczy łóżka. Do rana wyschną i będą jak wyprasowane.

Na drugi dzień wieczorem usłyszała:

— Mamy jeszcze jedną nową duszyczkę, nasz Pan w niebiosach czyni cuda.

W drzwiach stała uśmiechnięta salowa i uważnie słuchała słów pacierza, a szczególnie nastawiała ucha w jej stronę. „I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego”. Salowa nie poprzestała na *Ojcze nasz*:

— A teraz do naszej przenajświętszej Maryjki. Ale ty — zwróciła się do niej — nie zapłataj paluszków, tylko trzymaj rączki złożone prosto i przy sercu. — Zbliżyła się do niej, żeby pokazać dokładnie, jak składać ręce do modlitwy. Kiedy padły słowa: „Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen”, salowa, skandując po cichu ze wszystkimi dziewczynkami, klasnęła z zadowoleniem w dłonie, zgasiła światło i życzyła wszystkim dobrej nocy.

Rano Jezusa Chrystusa nie było na gwoździu między oknami. Gdzie się podział? Sabinka jej wytłumaczyła, że jest tylko jeden Chrystus na całym świecie, więc chyba musiał szybko wędrować z pokoju do pokoju, z domu do domu, z miasta do miasta i z państwa do państwa, żeby wszyscy ludzie zdążyli zmówić pacierz. Pewnie tak było.



W jadalni trzeba było siedzieć cicho i zjadać wszystko, co było na talerzu. Dużo wieprzowiny w różnej postaci. Świński tłuszcz leczy płuca, tłumaczono dzieciom. Nie miała apetytu, całe mięso oddawała koleżankom.

Pewnego dnia zasnęła z głową między talerzami.

— O, dziewczynka malutka jak jaka myszka i sobie tak słodko śpi — usłyszała nad sobą głos sprzątaczk. — Chodź, pomożesz cioci, a ciocia zrobi ci niespodziankę. Pozbieraj ze mną talerze i kubki ze stołów i poustawiaj w windzie, jeden równusieńko na drugim. Sztućce połóż na talerzach, a kubki postaw obok.

Posłusznie wstała i zaczęła pomagać sprzątacze.

Kiedy skończyły, siwa, chuda i żwawa kobieta powiedziała:

— Bardzo mi pomogłaś, dziecko, należy ci się nagroda. Widzisz? Talerze i sztucce zajęły tylko pół windy, bo żeśmy je porządnie poukładały. Za to teraz jest miejsce dla ciebie. Wsiadaj, przejedziesz się do kuchni. Zobaczysz, jaka to fajna wycieczka.

Zawahała się na chwilę, ale zaraz usadowiła wewnątrz kuchennej windy — metalowego pudła z rozsuwanymi drzwiami, umieszczonego w ścianie jadalni. Przez chwilę czuła, jak wszystkie wnętrzości podchodzą jej do gardła. Jak na huśtawce. Przy hamowaniu zadźwięczały talerze i sztucce. Drzwiczki się rozsunęły, wewnątrz windy wypełniła para i kuchenne zapachy. Jakaś dłoń wymacała jej obecność.

— O, mamy tu niespodziankę! Zygryda, chodź, zobacz! Mamy kurczątko na obiad! Znowu ta Jolanda ze swoimi wygłupami!

Od czasu tej wycieczki urzędowała w kuchni po każdym posiłku. Dyrektorka przemykała na to oko, bo widziała ją popijającą ze smakiem różne rosółki, jedzącą kotleciki z jarzynami i z uśmiechem polerującą sztucce, żeby je potem poukładać w szufladach. A działo się to także w czasie leżakowania, które odbywało się na zaśnieżonych tarasach sanatorium. Trzeba tam było leżeć w grubym skafandrze na polowym łóżku i oddychać świeżym górskim powietrzem na rozkaz pana Piotra, od którego bez przerwy czuć było skwaśniałym spirytusem.

Dyrektorka zaglądała od czasu do czasu do kuchni i na jej widok klaskała w dłonie.

— Tyjemy, różowiejemy, pan dyrektor będzie zadowolony!

Kucharki burczały pod nosem:

— Szefowa nie wie, że najważniejszy jest dobry rosół, dobre słowo i od czasu do czasu przytulenie do piersi?

Nigdy nie było jej tak dobrze jak wtedy, w kuchni sanatorium. Stefa, Karolina i Zyg fryda starały się, żeby dużo jadła i ciągle powtarzały:

— Pamiętaj, Pan Jezus chce, żebyś wyzdrowiała, zawsze na ciebie patrzy, nie denerwuj Go.

A ona chuchała na noże, polerowała je dokładnie ściereczką, aż można było się w nich przeglądać.

Rzeczywiście, wyglądała coraz lepiej, a czerwone kokardy, które dostała od nowych cioc na urodziny, dodawały koloru jej twarzy. Męczący kaszel ustępował w oparach kuchni.

— Popatrzcie, kobity, jaki piękny kwiatek można wyhodować z żydowskiego nasionka! — ciocia Zyg fryda, spoglądając na nią z dumą, coraz częściej powtarzała to zdanie.

Przytulała się do jej brzucha z wdzięcznością. Miała już pięć lat, umiała czytać i po takim powiedzeniu kuchennej cioci czuła się prawie jak łabędź z bajki o brzydkim kaczątku.



Któregoś dnia Sabinka znikła. Jej łóżko było zaścielone tak równo, jakby je ktoś wyprasował żelazkiem. Salowa powiedziała, że oddała wszystkie ślimaki dziewczynce, która odeszła, i że w niebie będzie im lepiej. Tym ślimakom i Sabince też, bo była grzecznym i dobrym dzieckiem. Tam w niebie jest ciepło. Wszędzie rośnie dużo wspaniałej zieleni z pięknymi kolorowymi kwiatami. Nie wieje wiatr i nie ma deszczu. Nie ma śniegu. Na posiłki podają same smakołyki. Nie za-

łowała Sabince. Niech ma wszystkie ślimaki. Przecież była dla niej taka dobra. Nauczyła ją pacierza. Rozdawała słodycze ze swoich paczek. Rzadko o coś prosiła. Tylko czasami rano, kiedy jej poduszka była zakrwawiona i trzeba było zawołać pielęgniarkę.

Zdarzało się, że podczas modlitwy chciała zapytać Jezusa Chrystusa, czy może coś wie o jej przyjaciółce, ale się krępowała. Bo przecież On ma tyle pracy, tyle domów czeka na Jego wieczorne odwiedziny.



Nadszedł dzień, którego się tak obawiała. Dyrektorka z uśmiechem zapowiedziała, że o dziesiątej rano przyjadą po nią rodzice. Co chwilę wychylała głowę z pokoju i z niepokojem patrzyła na duży okrągły zegar na końcu korytarza. Ciocie z kuchni z Zygfrydą na czele i Jolanda z jadalni obiecały, że ją odprowadzą do samego wyjścia.

Pierwsza pojawiła się mama. Jak pięknie wyglądała! Cztery łapki lisiego kołnierza leżały równiutko jedna obok drugiej na jej piersiach, a na futrze błyszcząły złociste loki. Ciemnoszary beret w kolorze lisa, przypięty srebrną szpilką w kształcie węża, okalał piękną twarz, a czerwone uśmiechnięte usta układały się w kształt serca wokół perłowych zębów. To jej mama. Jak z filmu.

Za nią stał ojciec w eleganckim zimowym palcie za kolana, a w drzwiach pan kierowca otrzepywał ze śniegu futrzaną czapkę.

Dyrektorka drobnym kroczeniem przydreptała do

rodziców. Jej obrośnięte tłuszczem ramiona rozwarły się w szerokim geście przywitania.

— Witamy, witamy w naszych progach. Już nie mogliśmy się doczekać!

Ciocie z kuchni stały w grupce pośrodku korytarza. Schowała się za Zygfydą. Ręka dyrektorki zwróconej w ich stronę ze zdziwieniem zawisła w powietrzu. Wskazujący palec wyglądał groźnie.

— A gdzie nasz pączek, który tak długo czekał na rodziców?! Gdzie nasze wspaniałe dziecko, przykład dla wszystkich, cud nad cudami, nasz okaz zdrowia?

Powoli i niechętnie wyjrzała zza pleców cioci Zygfydy.

— O, jakie piękne kucyki! — zawołała mama na jej widok. — Kto mojemu dziecku tak wspaniale zawiązuje kokardy? Pani dyrektor? Proszę mnie nauczyć, proszę! — Mama nie ruszyła się z miejsca, tylko poprawiła swój kołnierz z lisa i jeszcze raz starannie ułożyła jego łapy na piersi. Pani dyrektor skromnie spuściła oczy.

Przecież to ciocia Jolanda codziennie ją czesała!

Ojciec zdecydowanym krokiem ruszył z miejsca, a pan kierowca obracał swoją futrzaną czapkę w dłoniach zaczerwienionych od mrozu. Zanim wzięła tatę za rękę, zdążyła jeszcze dać buzi wszystkim ciociom z kuchni.

— Bóg z tobą, kochane dziecko, nie zapominaj o nas i o wieczornym pacierzu. Pamiętaj, że to Pan Jezus przywrócił ci zdrowie — szepnęła jej Zygfyda na pożegnanie.

Przy drzwiach wyjściowych stanęli we trójkę: ona między tatą a panem kierowcą z walizkami, a mama jeszcze przez chwilę szczebiotała pożegnalne słowa z panią dyrektor.

Poczuła lodowaty chłód, który kiełkował z dna żołądka i rozpływał się po całym ciele. Aż do koniuszków palców u nóg i rąk. Skąd ten nagły chłód? Przecież drzwi były jeszcze zamknięte.



Doktor Bilu okazał się wysokim mężczyzną. Stali w rzędzie przed okienkiem kasy chorych: lekarz pierwszy, ona za nim, a z tyłu pielęgniarka Marina. Urzędniczka wręczyła „drogiemu panu doktorowi” formularz rezerwacji sali operacyjnej. Termin operacji wyznaczono już na przyszły tydzień.

Zaczęła się trząść z zimna.